



Leszek Możdżer

ODDECH, CISZA I POŚLADKI

To nie jest pańskie miejsce proszę pana – wysyczała wyperfumowana dama. No dobra, może i nie moje, ale dlaczego tak niegrzecznie? Zerwałem się raptownie, nawet nie zdążyłem dopchnąć swojego wydechu do końca. Zawsze tak robię, kiedy czuję się niepewnie. Zawsze dopycham swój wydech do końca. A że co chwilę czuję się niepewnie, to co chwilę dopycham swój wydech do końca. Aż do zapadnięcia się klatki piersiowej i ściśnięcia mięśni brzucha i do tego charakterystycznego uczucia, że wychodzi ze mnie mentalna smoła. Pewnie dlatego ludzie kupują papierosy. Praktyka świadomego oddychania, tylko 20 złotych za paczkę. W sumie niedrogo. Z każdym wydechem wychodzi z człowieka smoła. Wdech i wydech – podstawowa duchowa praktyka. Po co się wysilać i koncentrować na świadomym oddychaniu, skoro wystarczy sobie zająć i masz dokładnie to samo bez żadnego wysiłku? Czuję to – każdy wdech i każdy wydech. Wiem, że oddycham.

Sycząca dama też była na papierosie, bo mimo dobrych perfum, czuć od niej spalenizną. Zdenerwowałem się. Ciągłe nie mogę się tego oduczyć. Wszystko odbywa się w sekundach, wpadam w rezonans ze zdenerwowanym człowiekiem i natychmiast się irytuję. Udało mi się utrzymać milczenie, nawet się uśmiechnąłem. Wstałem i zacząłem się przeciskać pomiędzy siedzącymi słuchaczami, żeby opuścić swój rząd krzeseł. Przepisowo, pośladkami w stronę estrady, bo tyłem do słuchaczy to podobno bardzo niekulturalnie. A najczęściej tak właśnie przepychają się ludzie między rzędami. Niemalże muskają pośladkami twarze siedzących osób. Na szczęście dzisiaj jest mało zajętych miejsc, widocznie gwiazda wieczoru nie jest jeszcze zbyt znana. Część ludzi zapewne jeszcze stoi przed filharmonią i praktykuje świadome oddychanie z pomocą papierosów. To, co dzisiaj palimy, to już nie jest

tytoń. To, co palił John Coltrane, to jest zupełnie co innego niż to, co palimy my. W starszowieńskich praktykach zachowała się jeszcze dymoterapia, dzięki której można ponoć usunąć jakieś pasożyty z organizmu, ale nie sądzę, żeby było to możliwe za pomocą współczesnych papierosów.

Czasem można się dowiedzieć z jakichś tekstów, że narkotyki, tytoń i alkohol były używane przez największych – Picasso, Davis, Hemingway. Poziom wewnętrznego cierpienia jest czasami tak wielki, że trzeba się jakoś znieczulić, ale pozostaje tylko wyobrazić sobie, o ile więcej nowatorskich dzieł mogliby stworzyć ci ludzie, gdyby byli czystszy. Wiadomo, że jeżeli w psychice pojawiają się zabrudzenia, to ciało fizyczne też potrzebuje się podtruć, żeby człowiek odzyskał równowagę. Ale kufel piwa blokuje przysadkę mózgową na jakieś dwa tygodnie, jak twierdzi profesor Żdanow opisując eksperymenty na szczurach. Pijący szczur nie jest twórczy. Jeśli wpuścić go do dobrze znanego mu labiryntu, tylko w lustrzanym odbiciu, to szczur niepijący bardzo szybko zorientuje się, że mapa jest ta sama, tylko ułożona odwrotnie i od razu znajduje ukrytą słoninę. Pijący szczur szuka chaotycznie. Nie jest w stanie zintegrować nowej rzeczywistości. Używa tylko tego, czego się do tej pory nauczył. Nie uczy się nowych rzeczy.

Rzeczywiście, na płótnach malarzy, którzy alkohol piją regularnie, pojawiają się zawsze te same motywy. Mózg zatruty alkoholem może żonglować tylko tymi pojęciami, które zdążył sobie do tej pory wypracować. W twórczości alkoholika nie pojawia się nic nowego. Ma „swoją styl”, czyli maluje zawsze to samo. Od zawsze najlepszym sposobem na psychiczne toksyny był równy, świadomy wydech. Albo alkohol. Słynni muzycy, kiedy skończą 50 lat, często odmawiają zdjęć z fanami. Nie każdy lubi stać godzinami na wstrzymanym oddechu. Ludzie podchodzą,

wykrzywiają twarz w uśmiechu, wstrzymują oddech, pstryk, ktoś robi zdjęcie, po czym odchodzą do swojego życia. Następny. Następna. Następni. Czasami pozuję do zdjęć po koncertach i nauczyłem się jednego – nigdy nie wstrzymuję oddechu. Trzeba się do tego zmusić, bo przy nienaturalnym uśmiechu i wymuszonej postawie oddech samoczynnie się zatrzymuje, tym bardziej, że nie wiadomo, kiedy trzaśnie migawka. Ale ja już nauczyłem się uśmiechać i powoli nabierać i wypuszczać powietrze poprzez odsłonięte zęby. Mogę pozować nawet dwie godziny i nie jestem zmęczony, bo nie wstrzymuję oddechu.

Kiedy mam tremę przed koncertem – robię dokładnie to samo. Po prostu dokładnie i powoli oddycham. Staram się też równo oddychać podczas grania, chociaż niektóre, co trudniejsze frazy wykonuję na wstrzymanym oddechu. Czasami, kiedy skupienie jest bardzo duże, nie oddycham w ogóle przez całkiem długie okresy czasu. Umysł przenosi się w dziwny stan, kiedy siedzę napełniony powietrzem pod ciśnieniem i wbijam palce w klawiaturę. Stopniowo pojawia się magiczne poczucie surrealizmu, a w zmysł wzroku łagodnie wlewają się zniekształcenia. Zapewne z powodu braku tlenu, bo mózg, który stanowi może 2% masy ciała zużywa ponad 20% całego wdychanego tlenu. Mózg potrzebuje bardzo dużo tlenu. Ale głód tlenowy może mieć całkiem przyjemne skutki. Kiedyś brazylijska joginka, z którą dane mi było być blisko, podczas sprzeczki raptownie zamilkła i zaciągnęła się powietrzem. Przez nos. Próbowalem coś jeszcze wyjaśnić, ale ona tylko ruchem ręki nakazała mi zrobić to samo. Nie pozostało mi nic innego, jak też nabrać powietrza. Przez nos. Siedzimy tak, bez ruchu, napompowani do pełna. Pokazuje, żeby czekać. Czekać. Kiedy już nie mogliśmy dłużej utrzymać ciśnienia raptownie uszło ze mnie powietrze i całe moje ciało napełniło się nagłą radością. Koniec sprzeczki. Ulga i błogość. Przyptyw energii jak po kokainie, tyle, że za darmo – za pomocą manipulacji powietrzem. Pozbycie się przetrzymanego powietrza to jak zrzuć ogromnego ciężaru. Keith Jarrett też tak robi. Po karkołomnej frazie potrafi ze zwierzęcym skowycem wyrzucić z siebie powietrze.

To dziwne, ale kiedy gram pod ciśnieniem, na wstrzymanym powietrzu, to zwykle udaje mi się dobrze zakończyć frazę. Bo najtrudniej jest zręcznie i precyzyjnie zakończyć frazę. Dopiero po wykończeniu frazy

można poznać dobrego muzyka. Tak jak w jeździe figurowej na lodzie, w jazzie również liczy się precyzyjne wykończenie figury. Zdarza mi się zapomnieć jaki jest akord, zagrać jakiś jego zły składnik, zgubić puls, zawadzić o sąsiedni klawisz, ale to wszystko jest bez znaczenia, jeżeli uda mi się precyzyjnie wykończyć frazę. Końcówka frazy jest decydująca. Czasami udaje mi się wybiec wyobraźnią do przodu i wyobrazić sobie zakończenie przebiegu jeszcze zanim ono nastąpi, ale nie jest to łatwe, bo muszę na bieżąco analizować mnóstwo dobiegających dźwiękowych informacji.

Kiedy słucham największych improwizujących saksofonistów, to mam wrażenie, że kontrolują frazę od początku do końca. Nawet jeśli końcówka frazy wydaje się koślawą – dodają jeszcze ostatkiem wydechu jakieś drobne wykończenie, ozdobnik, krótką dodatkową nutę, która wieńczy cały przebieg i udowadnia, że solista ma nad nim pełną kontrolę. Dopychają wydech do końca i ratują zagrożoną melodię, tak jakby ostateczna końcówka ruchu pędzla stanowiła mistrzowskie wykończenie kreski. Takie jakby docięnięcie pędzla, jakby zawijas. Owszem, zdarzają im się jakieś niezręczności, ot, choćby jakiś niewłaściwy dźwięk – ciągną go wtedy dłużej i z pełnym przekonaniem, zawsze ktoś w sekcji prędzej czy później tak go ogra, że zabrzmi dobrze. A może po prostu wiedzą że z biegiem czasu musi nastąpić akord, który wyjaśni sprawę i dźwięk zacznie pasować.

Pianistom zdarza się pomylić o milimetr i uderzyć palcem w dwa klawisze zamiast w jeden, wtedy powtarzają bolesną sekundę kilka razy, albo przesuwają ją po klawiaturze, w lewo, w prawo, w dół i do góry, że niby „tak miało być”. Ale ci najwięksi w ogóle się nie przejmują usterkami. Po prostu grają dalej, tak jak gdyby nic się nie stało. Tak jakby nie miało znaczenia to, że niesforny palec się przesunął i nie trafił w pożądaną klawisz. „Po prostu zauważaj usterki i kontynuuj” – jak mawia Chick Corea. Tak jak trener kierowców rajdowych, podczas gorącej sytuacji najechania na przeszkodę, mówi wyraźnie: patrz na drogę! Patrz w to miejsce, w które chcesz wyjechać, bo tylko wtedy instynktownie wyprowadzisz maszynę! Nie patrz na przeszkodę, patrz tam, gdzie chcesz wyprowadzić swój samochód! Cóż za życiowa rada... Ale jak to zrobić, kiedy już wjechałeś w krzaki i drogi nie widać?

Janusz Muniak zwykł mawiać: „Jeżeli zagrasz dźwięk, który nie pasuje do akordu,

to przesun go natychmiast albo o pół tonu do góry, albo o pół tonu w dół”. Mądra i skuteczna rada, ale kto chciałby się budzić ze snu i nerwowo przesunąć jakiś dźwięk o pół tonu, żeby ratować własny tyłek? Improwizacja to ma być lot niepokromiony, to ma być poezja! Nie techniczna obsługa chorusów. U dęciaków frazowanie jest ściśle zespolone z oddechem, fraza po prostu musi skończyć się tam, gdzie kończy się oddech. Owszem, zdarzają się saksofoniści, którzy używają oddechu cyrkulacyjnego dla potrzeb przebiegu frazy. Ale może ze dwa razy w życiu widziałem, jak saksofonista zajęty budowaniem melodii wciska końcówkę zasobów powietrza do ustnika saksofonu samymi mięśniami policzków i wciąż

ścięgiem. Gitarzyści podobnie. „Finger music”. Frazowanie polegające na przebieganiu palcami, nie sprzężone z naturalnym rytmem wdechu i wydechu. Ale jeśli przystawić mikrofon do twarzy największych pianistów, to okaże się, że cały czas podśpiewują podczas grania. Korelują w ten sposób frazowanie z oddychaniem. Dlatego młodym pianistom i gitarzystom podrzuca się ten zwyczaj, bo wtedy zaczynają instynktownie wprowadzać przerwy do frazowania tylko dlatego, że nucią to, co grają. Poprzez prawa rządzące ciałem znajdują w melodii miejsce dla zaczerpnięcia powietrza. Dobrzy muzycy pauzują naprawdę wspaniale. Bo pauza to najsilniejsza część procesu frazowania. A im lepsze



foto. Kasia Stańczyk

ga jednocześnie powietrze nosem, dzięki czemu nie musi przerywać narracji. Oddech cyrkulacyjny jest zwykłą sztuką dla sztuki, przy normalnym graniu się nie przydaje, bo to oddech wpływa na konstrukcję frazy, a nie odwrotnie. Uzyskanie długiej frazy na instrumentach dętych wymaga wielu lat pracy. Na początku nauki – oddechu wystarcza dosłownie na parę nut. Samo wydobywanie dźwięku z saksofonu czy trąbki to spory wysiłek, a co dopiero osiągnięcie dobrego brzmienia! To trwa całymi latami! Ale dzięki temu dęciaki od początku używają pauz.

Pierwsza lekcja improwizacji dla pianisty polega po prostu na tym, żeby równocześnie śpiewać to, co się gra. Wtedy oddech we frazowaniu pojawia się naturalnie. Pianisci mają skłonności do nadużywania ilości dźwięków, grają dużo, namolnie, gęsto. Wysypują dźwięki niepowstrzymanym, długim

wykończenie frazy – tym lepsza pauza. To dopiero podczas pauzy pojawia się napięcie. Ciekawość co będzie dalej.

Dobrzy muzycy umieją dozować dźwięki za pomocą umiejętnie stosowanej ciszy. Zresztą nie tylko muzycy. Posłuchaj pan biskupa, który cedzi swoje słowa do ludu! Kapłani dobrze wiedzą co robią, kiedy z ambozny cedzą pojedyncze słowa. Co prawda pomagają im pogłosy katedr i kościołów, w których wyrecytowane samogłoski pozostawiają po sobie majestatycznie wybrzmiewającą poświatę, zupełnie jak na płytach ECM, dzięki czemu wypowiedź zaczyna nabierać wagi i duchowego wymiaru. Pauza jest orężem każdego dobrego mówcy. Stosuje ją prezydent, guru, generał, arcybiskup i Krzysztof Karoń. Właściwie to Karoń jej nie stosuje, Karoń jej używa. To spora różnica. Pauzę można zastosować, ale można jej

użyć. Stosuje się pauzę pomimo tego, że nie jest na dobrą sprawę muzykowi potrzebna, ale można jej użyć, kiedy autentycznie zaistnieje taka potrzeba. W pauzie można zebrać myśli, odzyskać utracony puls, wyrównać energetykę, przymierzyć się do następnej frazy.

Muzyka to tylko odpowiednia organizacja ciszy, która ma wielowarstwową konstrukcję. Każdy głos pobudza napięcie u słuchacza jeśli wprowadzi się ciszę w jego przebieg. Tak jak pianista, który lewą ręką drobiąc intensywny akompaniament, przerywa nagle potoczystą narrację prawej ręki i unosi ją nad klawiaturą. Czeka. Jego lewa ręka nadal pracuje, tka gęstą fakturę, ale wszyscy wiedzą, że w umyśle pianisty panuje cisza. Gra tylko jego ciało, a umysł celebrytuje ciszę, przerwę we frazowaniu. Ta cisza jest jednak napięta i aktywna. Wszyscy czekają na następny dźwięk. Co z tego, że pauzuje tylko jedna warstwa i nie ma ciszy absolutnej. Mimo to i tak pojawia się napięcie.

Uwielbiam te momenty podczas koncertu, kiedy jestem ciekaw, co będzie dalej. Póki co dociskam wydech do końca, bo sytuacja jest niezręczna, uśmiecham się uniżenie do nieznanomych i przeciskam się chyłkiem pomiędzy kolanami słuchaczy, bo koncert może się zacząć lada chwila. Liczę na to, że dzisiaj usłyszę coś inspirującego, bo o tym pianiście, który ma zagrać mówi się dobre rzeczy. Chcę znaleźć sobie miejsce z widokiem na klawiaturę, i to szybko, bo światła przygasły i artysta już wyszedł na scenę. Usiadł ciężko na fortepianowym stołku. Jego ciałem targnęło głębokie westchnienie. Westchnienie to nic innego jak zerwanie blokady. Zauważ, że kiedy ktoś Ci się zwierza z kłopotów, a Ty podrzucisz mu perspektywę dającą ulgę, to z jego ciała wydobywa się głębokie westchnienie. Po westchnieniu jest po prostu lepiej. Z wydechem z mięśni uwalniają się wciśnięte w nie negatywne emocje. Dlatego zawsze dopycham wydech do końca.

O ile westchnienie pianisty przed koncertem to dobry znak, o tyle sposób, w jaki siedzi, nie wróży niestety niczego dobrego. Już po samym sposobie siedzenia pianisty można się zorientować, co się mniej więcej będzie działo. Ci, którzy opadają do tyłu, siedzą ciężko i mają cały ciężar ciała na pośladkach – niestety najczęściej grzęzną w pulsacji i nie mają dobrego brzmienia... Ale o tym w następnym odcinku.

Leszek Możdżer